KLASYKA



Maria Konopnicka

PAN BALCER W BRAZYLII

universitas



PAN BALCER W BRAZYLII



Pan Balcer w Brazylii – poemat epicki Marii Konopnickiej – był drukowany fragmentami w „Bibliotece Warszawskiej", „Wędrowcu", „Kraju", „Przeglądzie Poznańskim", „Sfinksie" (1892-1910). Osobne wydanie całości: Warszawa 1910. Ten pisany oktawą utwór miał być pierwotnie realistycznym, epickim przedstawieniem losów polskich tułaczy, chłopów, wygnanych z kraju przez nędzę i prześladowania zaborców, zwiedzionych przez werbowników. Wydarzenia 1905 roku
i nowy klimat społeczny wpłynęły na inne rozłożenie akcentów – z losów tytułowego kowala Balcera na dzieje całej społeczności polskich emigrantów (w tym grupy unitów, na równi z wiarą broniących swej polskości). Tragiczny los tego zbiorowego bohatera nabrał tym samym cech symbolicznych.
Współczesnego czytelnika może razić ideologia utworu, równocześnie jednak podziw budzi plastyczność opisów Nowego Świata: egzotycznych miast, przyrody interioru, której bogactwo poraża wyobraźnię Europejczyka, czy wreszcie wielorasowej społeczności.

KLASYKA...



Maria Konopnicka

PAN BALCER W BRAZYLII

Kraków

© Copyright for Klasyka...
by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS, Kraków 2003

Podstawą niniejszej edycji są wydania:
Maria Konopnicka, *Pan Balcer w Brazylji*, oprac. Jan Czubek,
Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1925,
oraz *Pan Balcer w Brazylii*, „Czytelnik", Warszawa 1955.
Tekst zmodernizowano według obowiązujących zasad
ortograficznych i interpunkcyjnych.

Korekta
Mariusz Warchoł

ISBN 97883-242-1125-8
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki serii
Ewa Gray

I

Na morzu

Pierwsze wrażenia. – Ave Stella Maris. – Noc. – Pan Balcer ogląda okręt. – Narady i nadzieje. – Choroba. – Przytuła poskramia łyczka. – Interwencja Horodzieja. – Horodziej o żywiołach naucza. – Rekin. – Burza. – Jak wygrali Łahiszyńce. – Pożar. – Bunt Opacza. – Matka. – Widzenia na chmurach. – O Josephowym senniku. – Magier i Żdżara. – Chrzest. – Pod równikiem. – W porcie. – Ziemia.

I

Więc kiedym stanął na onym pokładzie
Na pewnych nogach i szeroko w kroku,
Tom się pocieszył, że już na zawadzie
Nie będzie teraz nic, nawet łza w oku.
Okręt był wielki, głęboki w nasadzie,
A choć wiatr tęgi zadymał mu z boku,
Ledwo się w sobie kolebał bez mała
Na linie, co się prężyła i drżała.

Ha, w imię Ojca i Syna i Ducha...
Zrobiłem święty krzyż: Płynąć, to płynąć!
Człowiek nie plewa, wiatr go nie wydmucha;
Katolik przecie, Bóg nie da mu zginąć!
I zaraz we mnie wstąpiła otucha,
A że mnie jeden z fajeczką chciał minąć,
Więc ognia wziąłem i czapkęm nacisnął
Na ucho, kiedy nagle sygnał świsnął.

Jest przeraźliwość jakaś niespodziana
W takowym świście, co jeży ci włosy,
Boć to waleta przez ziemię ci dana,
A ty się zbieraj i w garści dzierż losy!

Więc się pode mną ugięły kolana,
I w oczach nieco zaczułem tej rosy,
Która, choć nikt cię nie żegna z żałobą,
Samego człeka urzewnia nad sobą.

A już te czółna przewoźne, te łodzie,
Co do okrętu latały od brzega,
Tak się zwijając i goniąc po wodzie
Jak stado rybitw, gdy płocia dostrzega,
To wprost, to w ukos, to w tyle, to w przodzie,
Cała ta luza już od nas odbiega.
Wtem działo w porcie ryknęło co garła...
Głos poszedł duży, lecz woda go zżarła.

Znak to był, jako na grzbiecie już swoim
Morze nas samo trzyma, bez kotwicy.
Załopotały po boku oboim
Skrzydliska, na kształt młyńskiej śmigownicy;
Nie czułem zrazu, czy płyniem, czy stoim.
Dym buchał gęsty, jak z czarciej kuźnicy,
Okręt, choć trzeszczał, lecz mocny się zdawał
I jak rak wodę łapami rozkrawał.

Tuż za nim, jako kiedy na nowinie
Pług zajmie krojem skibę a odwali,
Taka się połać skróś morza odwinie
I szczerym ogniem po strzępach się pali.
Bo już się słońce nurzało w głębinie,
Kolory dając ze siebie tej fali,
Co się waliła w żar, bruzda po bruździe,
Łódź czarną ciągnąc za sobą na uździe.

Na statku wrzawa, komenda, tłok, krzyki,
Po ludziach depcą, jak w boru po chruście,
Człek się tu robi przemyślny a dziki;
Ustąp się krokiem, to chybniesz w czeluście.
Nie tak się niedźwiedź pilnuje muzyki,
Gdy mu gra Cygan na drumli w odpuście,
Jak tu człek prawa morskiego i rządu,
Iż apelować daleko do lądu.

Zrazum był jako więc w ostęp wpędzony
Wprost na nagonkę, w sam kocieł obławy,
Ów szarak, co to nie wie, z jakiej strony
Słuchy ma wytknąć, by nie dać odprawy.
Świst wiatru w uszach i rozpęd szalony
Mało mnie z onej nie wymiótł precz nawy
Razem z magierką, butami i pasem...
Więcem się skulił by zając pod lasem.

Aż ci powoli cichło: czym ja zwykał,
Czy też tak woda po sobie rozniosła?
A com rozumiał, że każdy w swą krzykał,
Jeden drugiego pędzając za posła –
Nieprawda! Tuman mi z głowy już znikał.
Różny tu urząd i różne rzemiosła.
Nad wszystkim stoi kapitan w honorze
I w rozkazaniu. A nad nim zaś – morze.

Starsze ci ono nad wszystkie burmistrze,
A każdy przed nim kiep i staje frontem.
Gdy huknie, kiedy przyporwie się bystrze,
To właśnie jakbyś na działo szedł z lontem.
Zwolnieje zasię, potoczy się czystsze
Pod drobną falą, jak gdyby pod gontem:
To ci od miru tego, od tej łaski,
Na cały okół świata biją blaski.

Ale nim sobie rozbierzesz to, człecze,
Jużeś poczęstnem szturchańców wziął siła.
Już za kark pleszcze, już na łeb ci ciecze,
Już cię tu lina skrobnęła jak piła;
Tuś w łańcuch stąpnął, więc z sobą cię wlecze,
Tu pompa chlusła i gębę ci zmyła.
Gdzie spojrzysz – wszędzie srogość i zawziątek,
A morze kipi i bucha jak wrzątek.

Toż i nie dziwo, żem zrazu w tym warze
Zgoła nie wiedział, co z naszą gromadą!
Stalić tam w dymach kotłowych i w parze
Do kupy zbici by owiec tych stado,

Gdy je zapłoszy wilk. Spojrzałem w twarze:
Te jedne sino mienią się, te blado,
W oczach błąd, chłopom kolana dygocą,
Trzęsą się wargi ściskane przemocą.

Więc gdym obaczył z nagła te sukmany,
Co zwyczkiem siedzą schowane we zbożu,
On to len siwy, wełnami przetkany,
Na polskiej chaty przędziony zaprożu,
Gdzie wiśnie kwitną, a dach jest słomiany,
Jak dziś po wielkim unoszą się morzu,
Za bujnym wiatrem wiewając po świecie:
Tom uczuł w piersiach mróz, a ciarki w grzbiecie.

Bo to już wybić musiała godzina
Sądna i one rokowe momenty,
Kiedy w narodzie tynk opadł i glina,
A wyszły na jaw tajne fundamenty.
Już być musiała nie byle przyczyna,
Gdy chłop w ostatnie jakby sakramenty
Opatrzył duszę i szuka sposobu
Za morzem, jakby z tamtej strony grobu.

Kto po wierzch ziemi siedzi – nie dziwota;
Łacno jest ze mchów płytkiego wziąć grzyba.
Aleć kto dębem korzenie rozmota
Skróś tej macierzy i czyja sadyba
Samo jej serce – tam twarda robota.
Śmiertelny topór przyłożon jest chyba
Do pnia narodu, do rdzenia i miazgi,
Skoro z nas lecą za morze aż drzazgi!

Boć ze rzemiosłem to jeszcze pół licha;
Człek jest światowy i luźny sam w sobie,
Kunszt go prowadzi i wszędzie przepycha.
Źle mi – poprawię. Straciłem – zarobię.
Ale chłop, w sochę co żywot wydycha,
A ziemię tylko przewraca i skrobie,
Kiedy chce od niej – nie puszcza go, stęka,
Krwawe rozdarcie jest i śmierci męka.

Więc gdy tak patrzą na one to brzegi,
Choć im i cudze były, i nielube,
Na one wody pieniste by śniegi,
Co walą z hukiem, a idą we śrubę,
Podobni ptactwu, co miewa noclegi
W śródniebnych drogach, a podczas i zgubę,
Od skrawka ziemi niknącej w oddali
Odjąć nie mogli oczu i tak stali.

A już te łuny ugasły na wodzie
Z zachodowego pożaru i słońca,
Niebo się miało ku cichej pogodzie,
Otchnione parą od końca do końca.
Lekuchna modrość szła po nim na wschodzie,
Aż nagle pierwsza gwiazda błysła drżąca
I liczko swoje zamglone i blade
Prosto na naszą zwróciła gromadę.

I patrz, jak dziwne są moce i siły
W onych to światłach litosnych na ziemię:
Wszystkie się głowy podniosły i wzbiły,
Jakoby tknięte matczynym tchem w ciemię,
Wszystkie się oczy rosami zaszkliły,
A choć nikt znaku nie dał, lud, jak brzemię,
Z jękiem i z płaczem upadł na kolana;
... „O Gwiazdo morza!... Karmicielko Pana!..."

. . . . . .

Szeroko pieśń się poniosła w przestworze,
Bo ludu kupa była – do tysiąca.
Dołem, jak organ, dawało głos morze,
Powyż – ta jedna gwiazda błyskająca,
Gwiazda, co gdzieś tam po naszym ugorze,
Po naszych polach chodziła świetląca,
A teraz przyszła tu zliczyć te głowy
I dzieciąteczek posrebrzyć włos płowy.

I tak nas zaszła noc nad tą głębiną
I z wyciągniętymi klęczących ramiony,

Jak te bociany, gdy loty rozwiną
Od gniazd, gdzie miały bezpieczne uchrony,
A nie wiedzące są: wrócą czy zginą,
Czy koła dawne obaczą i brony...
Więc tylko skrzydła na wichrach położą
I płyną – niebem nakryte i zorzą.

. . . . . .

Sczerniały nagle wody. Mroki duże
Tak się rozwlokły po nich jako chusta:
Zlękli się ludzie, że będziem mieć burze.
Ale był płonny strach i trwoga pusta,
Bo morze rado tak nosi się w chmurze
I po omacku w ciemnościach się chlusta,
A co o boki okrętu uderzy,
To warknie jak zły pies i kły wyszczerzy.

A już szedł rozkaz i dzwon już znać dawał,
Żeby się wszyscy do miejsc swoich mieli.
Więc naród hurmem z tych klęczek powstawał
I hurmem schodził po stromej grządzieli
Pod pokład. Jeszcześć wieczora był kawał,
Lecz każdy zawczas pilnował swej ścieli,
Bo ludu było w okręcie jak mrowia
I nie każdemu starczyło wezgłowia.

Dopieroż to się zaczęła przeprawa,
Jako na wojnie bywa w batalii;
Jeden drugiemu przed sobą nie dawa,
Na oślep pędzi i na zakręt szyi.
Już się do bójki ma, już sroga wrzawa,
Gdy ja, na pomoc wezwawszy Maryi,
Klinem się puszczam w ciżbę, a łbem bodę,
I takem sobie zadobył gospodę.

Nie przedniać była. Na dworskim folwarku
Lepsze dla gęsi tucznych stawią kojce.
Jeden pod tobą, a drugi na karku,
A ty w pośrodku tkwisz jak ślimak w skojce,

Dokoła wzdychań, chrapotu, poswarku;
Razem to – dzieci i matki, i ojce...
Jeśliś ochludny, trzy razy się skóra
Wstrząśnie na tobie, nim w barłóg dasz nura.

Dziwnaż ta morska noc i dziwne spanie,
Jakiegoś nie znał, człeku, jak od żywa.
Ledwo ci dusza ugaśnie, ustanie,
Aż cię tu jakaś dalekość porywa,
Jakaś cię rzuca moc i kołychanie...
„Stój" – krzyczysz, myślisz na poręcz – że grzywa,
Że koń cię poniósł wietrznymi kopyty...
Alić wtem wyrzniesz łbem – i padasz zbity.

I nic. I znów ci powłóczą się oczy...
Aż tu na tobą: „Ratujta!" kto wrzaśnie
I znów ci serce jak piłka wyskoczy,
I znów się porwiesz – i nic. To cię właśnie
Tak zamdli, tak cię zanudzi, zamroczy,
Że drugi dobrze za północ nie zaśnie
I wzdycha tylko, i pot z niego kapie,
I słucha, jak w tym parze ciżba chrapie.

Ledwo nad ranem ustała ta zmora
I zaraz mnie też przychwycił sen tęgi.
I ot, mi w oczach stanęły, jak wczora,
Miasteczko, kuźnia, kowadło, obcęgi...
Słucham – z łąk leci gęganie gęsiora,
Patrzę – chłop szkapie przyciąga popręgi,
Jasiek w miech dyma, lśnią w słońcu ufnale,
A ja w podkowę, co siły mam – walę.

Hej! Niejeden tam śnić musiał tej nocy
O chacie, o tym zagonie, o rodzie...
Stękały chłopy jak w ciężkiej niemocy,
Insze zaś w głos się śmiały by przy miodzie.
Niejedna baba skoczyła jak z procy,
Gdy ostrzej chybło pudlisko na wodzie;
Wzdychań, pokrzyków niemało tam było –
Tak nas to morze jak wino spoiło.

Dzieciątka tylko pośpiły się ciche,
Jakby się nigdy przebudzić nie chciały.
Pisklęta one bezpióre i liche,
Gdzie które padło, jak padło, tak spały.
Człowiek choć we śnie, a różną ma pychę
I różną żądość; a taki ptak biały
Mógłby na piersiach Chrystusa spać Pana,
Jako rzeczonym jest o głowie Jana.

. . . . . .

II

Ledwo dzień oświtł, a ranek był chłodny –
Szedł naród z dobrą na pokład otuchą.
Nuż do węzełków, bo drugi i głodny
Legł, postem morze witając na sucho.
Wiatr ruszał wodą i szum czynił godny,
Właśnie jak gdyby powiadał na ucho
Jakoweś mile rzeźwące orędzie:
„Ej, pójdzie jakoś! Ej! jakoś to będzie!"

Bo nie ma, co by tak silnie przywarło
Do człeka jak to na jutro czekanie.
Choćby się serce jak żebrak obdarło,
Jeszcze w tym jednym zostaje łachmanie.
Śmierć – i ta patrzy źrenicą umarłą,
Rychłoli wskrześnie, a z martwych powstanie.
Więc choć się naród zmitrężył niemało,
Morze nadzieją ku niemu się śmiało.

Dopieroż tu się tej arce dziwować,
Co nas na sobie przez zatop ów niosła:
A to by było i folwark gdzie schować,
A wodę pruje by szczuka bez wiosła,
Zadzierasz głowy, chcesz maszty zrachować,
Na które sosna – sto lat mało – rosła,
Alebyś darmo swój rozum przykładał!
Dopieroż jeden stał i tak powiadał:

„Okręt mieć musi, jak człowiek, swe imię,
A ten tu z nami to «Krejc» się mianuje,
Co po naszemu «Krzyż» znaczy. Aż w Rzymie
Sam papież takie metryki spisuje.
Przy biciu z harmat, przy ogniach, przy dymie
Ma okręt chrzest swój i chrzestnych przyjmuje,
Dopieroż granie i wino, i miody,
A pierwszy kubek na wiwat – do wody.

Więc jako człowiek najwyżej ma głowę,
Tak okręt zasię maszt wielki, koronny.
Trza zbrodzić lasy i puszcze światowe,
Zanim się trafi dąb silny a gonny,
Co go nie toczy czerw, kory ma zdrowe,
Ani go suszy jemioły liść płonny.
Bo widłak na to ni bochniak – nie będzie,
Co mech skołtuni, a grzyb go obsiędzie.

Taki nim spuszczą, to czynią z nim próby;
Bo musi wrostu mieć do setnej stopy,
A od przyziemka też godnie być gruby
W sobie, przynajmniej na jakie trzy chłopy.
Dopieroż gdy te odprawią rachuby,
Siekierą po nim! I nuż go przez tropy
Wilcze, przez gawiedź borową, przez chaszczą
Jako niedźwiedzia powalą i taszczą.

Długo by przyszło i w ciężkim mozole
Powiadać wszystko, co potem z nim bywa;
Bo moczą w wodzie i warzą go w smole,
Aż z niego wyjdzie precz treść leśna, żywa.
Nie tyle razy przewróci chłop rolę,
Nie tyle Żyd się przez szabas nakiwa,
Co on tram męki wycierpi, nim zgoła
Masztem powstanie i wichrom da czoła.

Ten drugi zasię, to «bukszpir» go piszą,
Z żywicznej sośni jest albo z modrzewa.
Żagle się na nim jak chusty kołyszą,
Gdy nimi kramarz na budzie swej wiewa;

Sznury się po nim pną i luźno wiszą,
Na czubie, w koszu, coś gwiżdże i śpiewa.
Pachoł to, co tam siedząc przy powięzi
Lin, śwista sobie jak drozd na gałęzi".

Otwarły chłopy gęby jako wrota
I patrzą niby na wiewiórkę dzieci.
„Spadnie!" – „Nie spadnie!" A ten się chybota,
Jakoby leciał już. Tak krzyknie trzeci:
„Trzymaj się, chłopie, bo wiatr cię pomiota!"
Ten nic! Więc inszy: „Nie słyszy waszeci.
Bo sroga góra je i woda huczy...
A zresztą takich tam – sam diabeł uczy!"

I prawda! Nie raz i nie dziesięć razy
Widziałem, jak się masztowi do czuba
Pnie taki, jako po olchach te łazy
I te dzięcioły. To idzie by śruba.
Na drzewcu żadnej zadzierki ni skazy:
Skręt karku pewny inszemu i zguba,
A on nic! Śmieje się tylko i śwista.
To cóż by, jak nie ta siła nieczysta?...

Ale największy dziw w ciebie uderzy,
Kiedy to pojrzysz na one głębiny,
Bo choć się oko najdalej zamierzy,
Nie ujrzy ziemi skrawka ni drzewiny...
Ocean tylko przed tobą się szerzy
W dalekość, którą nakrywa par siny...
Próżno byś oczy obracał jak słońca:
Nic – tylko woda a woda bez końca.

A teraz patrzże, jak po tych bezdrożach
Okręt steruje i plac sobie czyni,
Gościniec miawszy znaczony na zorzach,
W tej niezmierzonej, bezbrodnej pustyni,
Jak zna te chody przepastne na morzach!
To prędzej u nas chłop zmyli w Sterdyni
Drogę – z odpustu idąc – do rogatek,
Niż na tych wodnych obrusach – ten statek.

Więc się i w ludziach bezpieczność jakowa,
I dobre w sobie ocknęło dufanie.
Od „Pochwalony", od słowa do słowa,
Tu jedna kupka, tam druga przystanie;
Radzą – a każda ma rozum swój głowa –
A jak to będzie, a owo jak stanie,
Aż brzękło gwarem po onym pokładzie,
Jak kiedy pszczoły uroją się w sadzie.

Więc to tam było napatrzeć się czego,
Onych ubiorów i ludzkiej odmiany...
Bo się lud zeszedł het z kraju całego:
Kurpie, Mazury, Łomżyńce, Płocczany,
Alić najgęściej z porębu naszego,
Od Liwca, Narwi brunatne sukmany...
A w każdym inszy ruch, insza postawa,
Tak się to ziemia w narodzie wydawa.

Dopieroż tu się zapalą te oczy,
Dopieroż staną te lica w kolorze!
Ten z czapą jedzie w tył, ten ją w bok tłoczy,
Ten jak lny jasny, a ów jak dąb w korze.
Lud zwięzły w sobie, żylasty, roboczy,
Łeb prosto nosi, jest twardy w honorze,
A choć po równiach polistych rad siedzi,
Górny jest, jakby dziś był u spowiedzi.

Drugi ma ledwo ten kubrak na grzbiecie,
A patrz, jak ręce od siebie rozkłada!
Właśnie jakoby choć z włóka w powiecie
Na niego stała. Dokoła gromada,
A ten – tak, owak, a inak po świecie...
Każdego przeprze, każdego przegada,
Jakby podwójcim był albo ławnikiem,
Taki się z drogi nie namknie przed nikiem!

Najgłośniej prawił Opacz. Chłop jak rzepa,
Szeroki w gębie na każdym jarmarku,
Lenił się nagiąć do pługa, do cepa,
Więc luzem chadzał przy drożnym szarwarku.

Wiejska się na nim przetarła polepa,
Bo w artylerskim sługiwał gdzieś parku.
Ten krętych włosów był i dużej głowy,
A na kamzeli miał szynel wojskowy.

Teraz zapalił cygar, jął się w boki:
„Cóż tam za morze! – mówił i pluł ślinę. –
Niech mi położy kto ze dwa soroki
Rubli: tak, brat mój, choć w poprzek przepłynę!"
„Dlaboga – krzykną baby, gdyby sroki –
Przez tylą wodę?... Przez tylą głębinę?..."
A on: „Nie takie ja widział w Odessie!"
Tak baby: „Reta!..." A on: „Nie bójcie się!"

Na to Sekura Paweł: „Wszystko niczem,
Kiedy my się tu szczęśliwie dostali,
To tam i dalej pójdzie!" „A my liczem,
Że tego będzie już bliżej niż dalej!"
Rzecze Pietr Bandys: „Ot, strzelił jak biczem!"
Zakrzyknie inszy: „A u nas gadali,
Co suchoputną najsporzej jest drogą:
Trzy dni coś, tylko że trafić nie mogą".

A wtem Przytuła Szymon: „Ot, to bieda
Z głupim narodem! – rzekł i kiwał brodą. –
Jak owce toto... Chce – kupi, chce – przeda!
A to nie wiecie, co wszelki kraj wodą
Oblany dokół, a woda precz nie da?
Czymże to zaprzesz granicę? – Czy kłodą?
Nie bój się! Dobrze tam strzegą od szkody...
A ten mocniejszy, kto więcej ma wody!"

„Co z chłopstwem gadać? Łby tępe jak drewno.
Albo to widział co taki kozica?"
Rzekł Magier, stelmach, splunąwszy w bok gniewno.
Ten od Łukowa szedł i grał w szlachcica.
Bo to tam u nich tak szlachty ulewno,
Że jak nie zrodzi groch albo pszenica,
To słomy w buty na wiechcie nie stanie.
Ci w płaszczach chodzą sinych, nie w sukmanie.

Słyszą to chłopy. Nuż trącać się, zżymać,
Aż Kacper Bugaj z Łęczny, setna dusza,
Nie mógł zęboma języka utrzymać,
Przestąpił, wcisnął nisko kapelusza,
Ręce pod boki i nuż gębą dymać:
„Każdy je mądry, jak wraca z ratusza,
Kiedy go burmistrz po skórze wyłupi...
Ino na ratusz to wszyscyśma głupi!"

Tak chłopy też w ową: „A jużci! A przecie!"
A ten sparł boków i aże przysiada:
„Co głupich robić gębą, kiej na świecie
Dość ich bez tego! A gadka powiada:
I głupi chleba nie ciśnie na śmiecie,
Ino tak samo jak drugi go jada!
Ma on swój rozum! Tyla, że nieboże,
Mądry się jeno na nim poznać może!..."

Pojrzał spod czoła Magier. Widno w twarzy,
Jak mu war idzie do ciemion od karku.
Wten ściśnie pięście i okiem zajarzy...
Aż Opacz: „U nas, w artilerskim parku,
Dwóch było głupich i poszło w kucharzy.
A że się chłopy wypasły przy garku,
Więc jaki taki feldfeblu zeznawał,
Jako jest głupi, a rozum – udawał.

To jak nas liczyć wziął na poligonie
Feldfebel, ćwiartkę dostawszy tabaki,
Wyszło, że rozum dobry same konie
Miały u lawet, a my wsie – duraki.
Tak raport. Bo tam w każdym eskadronie
Srogi porządek. Tak dalej w baraki.
Dalej w doktory! I nim się wydało,
To o tym nawet w gazetach pisało".

„Powiadał nam ta Niemiec z kolonii..." –
Zaczęła baba, a insze, jak w sedno:
„Co tam Niemcowi dowierzać bestyi!
Niemiecka wiara a kocia – to jedno!"

Wtem druga: „Gorszy je Niemiec od żmii.
Ato my latoś chudziznę tę biedną
Przedali Szwabom od Mławy, to wszytek
Grosz nam się rozlazł! Nic nie szedł w pożytek".

Ale szewc Szczęśniak, pojrzawszy na żonę,
Co dzieciąteczko na łonie tuliła:
„Oj, dałby – rzecze – Bóg w tę czy w tę stronę,
Bo nas już bieda ze wszystkim zamdliła!"
Na to Sekuła: „Gadają, co one
Kraje bogate są, złota w nich – siła,
Tylko że naród je czarny i dziki,
To przez to nas tam chcą mieć, katoliki".

„Laboga! – wrzasną dziewki, co tam stały –
Słyszysz ty, Zośka! Tam chłopy jak sadze..."
„A cóż tam Zośce, kiej Stacho je biały!..."
„O... Stacho znowu... A cóż ja ci wadzę,
Że mnie do Stacha przykładasz?" Przerwały:
„Daj spokój! Cichaj!" – „Ej, powiem! Ej, zdradzę!"
Buchnął śmiech pusty, dziewczęcy, swawolny:
Zośka stanęła w ogniach by mak polny.

Lecz w inszej kupie radzili ludziska
O ziemi: „Słychać, co dołki są płoche,
A górki żyzne. – Ja idę, gdzie niska
Rola. A co mi po górach wlec sochę?...
Żyto siał będę... Zaorzę życiska,
Kobiecie na len odetnę ta trochę,
Trochę na owies, na jęczmień uładzę,
A reszta – het precz ziemniaki obsadzę".

„Słyszałen, co tam ziemniakom nie plaży,
Ale pszenica to krzy się jak trzcina".
„Co nie ma krzyć się, kiej słońce tak praży?
Podkład też – słyszę – godny, czysta glina,
Choć na chleb smaruj". A tu gospodarzy
Już jeden Żydek przepytać zaczyna,
Po czemu parę chcą. Bo to tam bywa,
Przez jedno lato ozime dwa żniwa.

„Bo to nie?... Przecie na takie gorąca
Sama się święta ziemia chlebem poci.
Ruszysz lemieszem – to już je czująca,
Już się ta po niej spodziewaj dobroci!"
„Słychać, co owca w półtrzecia miesiąca
Dwojgiem się na raz i trojgiem też koci,
A jagniak wełnę ma, jakiej skop nie da!"
„Tęgi kraj! – Jeno się dostać tam bieda".

Westchnął, a za nim insi. Chłop rad wzdycha
Tam, gdzie się drugi w mówieniu rozszerza.
A jest w tym skarga nieznośna, choć cicha,
Co ziemią rusza i w niebo uderza,
Więc może także i twardość, i pycha,
Co to na rynek nie niesie pacierza,
Jak dziad – jakowaś dostojność ta kmieca,
Od prastarego idąca gdzieś wieca.

Ale na boku, od inszych odbita,
Stała nieduża gromadka narodu;
Na grzbiecie siwa sukmana, a świta
Pięknie czarnymi taśmami u przodu
I po kieszeniach, po plecach wyszyta.
Twarze surowe, śniade, jakby z głodu
Albo z przedawnej a skrytej żałości.
Rzadki zagadał co; stali w cichości.

Pilno patrzając za morzem tym chyżem,
Jakoby chcieli uśpieszyć je w biegu.
Wtem jeden: „Słychać, kardynał ma z krzyżem
Przyjmować naród na tamtym ta brzegu..."
A drugi: „Chryste!... Toż mu się uniżem!"
I cichość: Tają dusze jak smug śniegu...
Tak pierwszy: „Papież dał pismo spisować,
Co nasi księża chrzcić będą i chować".

Westchnęli. Milczą. Aż jeden do nieba
Ręce podniesie. „O Panie nad Pany!
Otom jest Łazarz... Nie uskąp mi chleba,
Co światu z ręku anielskich je dany!"

Lecz insi: „Cichoj! Tak głosem nie trzeba...”
Umilkł. Łzy połą wyciera sukmany.
A wtem niewiasta, już drżąca z starości:
„Aby te kości donieść!... Aby kości!...”

Tak buchną na mnie serdecznej krwi wary.
Lud ci podlaski jest! Oneć uniaty...
A toć ja przecie tej jednej z nim wiary!
Toć i ja rodem z podlaskiej gdzieś chaty...
Tak do nich. Wnet my przystali do pary,
Wnet przyjacielstwo sierdziste, że – raty!
Boć ta kowalska bekiesza z sukmaną,
Dalbóg, że razem kiedyś w sprawie staną!

Zetkły się głowy, ścisnęły prawice,
Z nadra do nadra posięgły nam oczy.
Wyszły kolory tajemne na lice,
Iż to tam naród od wieków krwią broczy...
A choć nikt uszów nie ostrzył na szpice,
Czuj duch! Trzymają na tęgiej utroczy
Język. Słów mało, a mowa niedługa;
„Skąd?... Po co?...” „Duszę ratować. Znad Buga”.

Rzeko! Żebyś ty wiedziała do siebie,
Co siły w tobie jest i co jest mocy,
Jaką to twardość toń twoja kolebie,
Jaka przysiężność z dna bije wskróś nocy,
Tobyś się rwała za wichrem w podniebie,
Obwołująca, jak owi prorocy,
Co nad wodami siedzieli Jordana:
„Wstawajcie, ludy, bo idzie sąd Pana!”

Ha, cóż! Toć jeszcze nie amen, nie hola!
Ziemia nie papier, nie trzyma pieczęci,
Komu tu wola, a komu niewola...
A wy tymczasem ratujta mnie, święci
Polscy, żebym też nie musiał zejść z pola,
Póki tu snopa nie zbiorę użęci...
A strzeż mnie, Chryste, przed śmiercią i truną,
Zanim nie grzmotnę krzyżem, aż skry luną!

III

Nagle uderzył huk i mowy zgłuszył,
Morze się pienić jęło i kołychać.
Wiatr tropy zmylił i z tyłu się ruszył,
Fala na falę zaczęły nas spychać.
A na pokładzie, jak gdyby deszcz prószył,
Takie szły bryzgi. Już ciężko i dychać,
I stać. Już w ciebie gorące zawroty
Biją, na przemian dreszcz idzie i poty.

Ha, nie ma o czym powiadać tu wiele.
Ziemia jak ziemia, a morze jak morze,
Każde ma swoje osobne fortele,
A ty się ratuj, jak umiesz, nieboże!
Pozalegali ludziska pościele,
Piszczą, jak właśnie drwa mokre, gdy w korze
Zielonej zrąbiesz je, a chcesz rozpalić.
Ale się nie miał nad nimi kto żalić.

Bo na okręcie jest tak jak na wojnie.
Wyjdzie – kto wyjdzie, a zginie – kto zginie.
Ty zęby ściśnij i czekaj spokojnie,
Aż cię zagryzie złe albo przeminie.
Jużci chłop strzyma. Lecz bab było rojnie
I starców zeszłych, niepewnych w godzinie.
Więc choć się strząsłeś sam, nie miałeś miru
Od wszelakiego jęczenia i skwiru.

Dopieroż tedy pod owym pokładem,
Gdzie ludu wparto coś więcej tysiąca,
Tam się opijesz powietrzem jak jadem
I sił ostatka pozbędziesz z gorąca!
Nie tak mrowisko uroi się gadem,
Gdy z góry sypnie żar i wartkość słońca,
Jak się tam naród roił w owej dziurze;
Już się i wieszać chciał jeden na sznurze...

Inszy rad by się choć w wódce zatopił,
Ale że licha była i to droga,

A tu i strażnik miał oko i tropił,
A jak takiego zobaczył raroga,
Dalej pod pompę z nim! Tak chłopa skropił,
Takie mu cięgi dał, choć bez batoga,
Że drugi, co i na nogach nie ustał,
Jak chart umykał, a ten za nim chlustał.

I jadło co dnia gorsze ci się widzi;
A słodkiej wody chcesz, to bij się o nią.
Brud, ścisk: już człowiek sam sobą się brzydzi,
Już jeść nie idzie do kotła, choć dzwonią.
Więc jako w kuczce napchani ci Żydzi,
Tak my nad onych niezmiernych wód tonią
Siedzieli w tłoku i w duchu tym parnym,
Każdy pod męki swojej płatem czarnym.

Het, precz odeszła ta dobra otucha,
Która nas z pierwa po morzu tym wiodła.
Bo w człeku blisko od brzucha do ducha;
Taka w nim niskość jest i żądza podła.
Raz wraz to kłótnia, to bitka wybucha;
Jakowaś wściekłość każdego z nas bodła.
A choć sam sobie tej biedy napytał,
Jak żbik na inszych parskał, jak dzik zgrzytał.

Aż się w to jedno złe i drugie wdało:
Ludzie zaczęli grać. Po kątach zrazu,
Dorywkiem, milczkiem i jakby nieśmiało.
Ale że na to nie było zakazu,
Tak się włożyli. To nieraz noc całą
Łbami stłoczeni, by ryby u jazu,
Siedzą, a tylko głos słychać zażarty
I padające na tapczan gdzieś karty.

A wszystko w hazard szło. Bo chłop je świeży
Na takie rzeczy, więc strasznie gorący;
I jak się puści, to duszy odbieży;
Póki nie skipi w nim ten wrzątek rwący.
Dopieroż potem padnie i tak leży.
Już go nie wołaj do żadnych tysiący:

Nie chce, nie pójdzie. Ugasła w nim siła.
Wydmuchał parę jak kocieł, jest – bryła.

Alić podpałków nie brakło tam onych,
Co lud jarzyli by smolne łuczywo,
W ogniach go co dzień trzymając czerwonych.
Ugasnął jeden: to drugi co żywo!
Póki grosz czuli w tych trzosach palonych
Czy za pazuchą, to precz było żniwo;
Bo z taką kupą te letkie narody
Ciągną by owad powietrzny na miody.

A już nad wszystkich Opacz. Ten niewiela
Gadał, a tylko ćmił cygar i chodził,
Na tych ramionach strząchając szynela,
A w oczy patrzał. – Kto do kart się godził,
Dopieroż gdzie bądź chuściątko zaściela
I dalej w kupki! To chłopów tak wodził,
Że gdzie się ruszył, już pełno tam roja
I tylko słychać: „Ta moja, ta twoja!"

Alić z Opaczem pokumał się pędem
Jakiś to łyczek wędrowny po świecie.
Zalatywało od niego złym swędem:
Cygan nie Cygan, takie tam ot, śmiecie.
Dopieroż to się chłopy zgrywać rzędem!
Co który pomknął – to płótno w kalecie:
Nie wiem, inkluza miał, czyli wężową
Skórkę, czy zgoła nadrabiał tak głową.

Aż się Przytuła zgrał do suchej nici.
A miał grosz godny, bo przedał w Obrytem
Szmat gruntu, chatę i tutaj na wici
Po Bugu z owym grosiwem, zaszytem
W szkaplerzach, dotarł. Jakże się nie chwyci,
Jak nie załamie rąk z srogim skowytem!
Chryste! Myślałem, że padnie tam trupem,
Tak zsiniał. Język w kół, a oczy słupem.

Ledwo my chłopa strzymali w tym pędzie,
Bo nam się topić na morzu chciał duchem.

Przycichnął potem jakoś, tylko wszędzie
Za onym marnym chodził wiatrodmuchem.
Gdzie ten z kartami, Przytuła też siędzie,
Na ręce patrzy mu, za każdym ruchem
Oczami idzie pilno i precz śledzi...
Aż raz, kiedy to tak na boku siedzi,

Patrzy, a łyczek ma karty w rękawie
Insze i nimi, gdzie trzeba mu, sunie.
Zbladł chłop jak wapno, skamieniał aż prawie.
Jakże mu potem krew w lico nie lunie!
Jakże nie skoczy, nie zaklnie plugawie,
Jakże na łyczka piorunem nie runie!
O ziem, i po nim! „Ha, psie ty fałszywy...
Nie zajdzie słońce, dopókiś ty żywy!

Bełkoce tamten, ściśnięty kolany,
A chłop, co pięści odejmie, to krzyczy:
„A ty wisielcze! A katu urwany!
A ty kołtunie! A psie ty bez smyczy!
A toś ty z kłami był na świat wydany!
A niech cię zbieli trąd!" – a tamten ryczy
Ostatkiem duszy, tak chłop go nadepta:
„Oddaj, psi synu, co czart ci naszeptał!"

Widzę, źle będzie, bo człowiek był w gniewie
Straszny, a już się ze wszystkim ochwacił.
Co my do niego, to jakby zarzewie
Na proch. „Precz! Wara! Nie będziesz ty płacił!
Ja sam! Precz! Na bok!" – A nóż miał w cholewie
I byłby łyczka, jak amen, zatracił,
Tylko mu sięgnąć źle było, bo klęczał,
Przez kożuch. Tamten coraz ciszej jęczał,

Już, już ustawał... „A niech go tam spłata! –
Przemówią chłopy. – Nie będzie miał grzechu!"
A insi: „Bogać! Nie będzie utrata
Ni w niebie dziura!" I już im do śmiechu.
Wtem, jak gdy gołąb z nagłości przylata,
A sinym skrzydłem uderza w pośpiechu,

Tak nagle głowę Horodziej wynurzy
Z trzepotem włosów siwych skróś tej burzy.

A że nie gwałtem widział od starości,
Obiedwie ręce poprzed sobą trzyma
I puka laską, jak gdyby w ciemności
Drogi se szukał zgasłymi oczyma...
Namkli się ludzie dla zeszłych tych kości,
Dziad do Przytuły i za kark go ima,
A z taką siłą chwycił i tak ciasno,
Że się onemu aż zębce zatrzasną.

Chłop zgłupiał. Patrzy, a stary precz trzęsie
Żylastą ręką na nim te manatki.
„A ty co, bratku?... To krzywda ci w mięsie?
To ty tu sobie urządzić chcesz jatki?
A wstajesz mi ty?... Po takim cię kęsie
Pies przez chałupę nie puści do matki!...
Wstawaj, bo zduszę do ostatniej pary...
A ty, złodzieju, oddawaj talary!"

Chłop Horodzieja znał. Z stron jednych byli
I razem uszli z tęgiego opału,
Więc się w nim zaraz ten impet przesili,
Głowa odejdzie z onego postrzału.
Targnął się, zaklął w pień, alić po chwili
Rąk zwolnił, splunął i wstawał pomału,
A choć jak niedźwiedź otrząsał się, fukał,
Łba spuścił, niby że to czapki szukał.

A łyczek leżał, ot, prosto bez ducha.
Nie wiem, czy zamdlał tak, czy pory czekał.
Aż go tam jeden kopnął; więc się brzucha
Własnego chwycił i oczy powlekał,
A choć mu gębą pociekła zła jucha,
Porwał się – i jak szczur rowem – uciekał,
Trzosik po drodze puściwszy i karty.
Horodziej głową trząsł, na kiju sparty.

„Oj, źle, oj źle to będzie z nami społu,
Kiedy wy takie dajecie naczęcie

Tej naszej drodze! Już nam do dołu
Iść, nie żaglować pod żaglem w okręcie.
Oj, nie umiecie szanować żywiołu!
Ukróci on was i zgubi w odmęcie...
Oj, poda na sąd was to morze, poda,
Tylko się po was zachluśnie ta woda!

A cóż to? Myślisz, żeś ziemi się puścił,
Gdzie cię wkorzenił Bóg, to ci do złego
Już wolna droga? Toś się już rozpuścił?
Już nie wiesz, jak masz żyć? Co jest do czego?
Toś już to prawo wszelkie zaczeluścił?
Nie bój się! Jest u żywiołu każdego
Prawo! A ciebie nie skryją i w niebie,
Jak ty żywioły obruszysz na siebie!

A toćżem widział w Wągrowie, w kościele,
Jak to Bóg Ojciec nad nimi panuje.
To mu się tylko powietrze to ściele
Do stóp, a ogień szaty oblatuje.
Tuż morze, modre, jak u nas kołbiele
Nadbużne, takoż do służby się czuje,
A on Stworzyciel w wichrowej koronie,
Ręce ma nad nim, a ziemię na łonie.

A dokół gwiazdy, miesiące i słońca.
Tak na początku pokazał się świata
I taki będzie zaś u świata końca.
Bo żywioł wieczny je, a nie oblata
Jako liść drzewny ni czas go nie trąca,
Ani się najdzie najmniejsza w nim strata...
Ni ogień iskry, ni wiatr tchu nie zroni,
Nie zginie z ziemi proch ni kropla z toni.

Bo nad tym ogniem Michał stoi święty
Na koniu z włócznią, a smok mu w kolana...
A nad powietrzem Elijasz, co wzięty
Wichrem do nieba. A woda jest – Jana
Chrzciciela, który był w więzieniu ścięty;
A ziemia zasię Chrystusa jest Pana,

Iż po niej stopką najświętszą swą chodził,
Kiedy się w ciele ludzkim był narodził.

Więc ty się waruj tu na tej głębinie!
Boś nie jest jako na boru z napaści,
Aleś żywiołem Bożym, co nie minie,
Objęty, w Jana świętego jest właści!
On tu nad tobą stoi! W zorzach płynie,
Nad wody świata, nad morskie zapaści,
Na chmurach widna ścięta jego głowa,
Gdy słońce krwawo pod zachód się chowa".

„A i cóż oczy wytrzeszczasz jak gały? –
Zwrócił się nagle do Pawła Sekury: –
Dalej! Ruszta się! Wstyd, żeby tak stały
Chłopy, łbów zdrowych zadarłszy do góry!
Nie noc je przecie, dzień Boży je biały...
Dalej! Choć zwijać te liny, te sznury,
Aby te ręce o pracę zaczepić!"
Ruszył. My za nim. Tak umiał lud skrzepić!

Tylko że krótko tego było. Gadał:
Słuchali. Drugi i wzruszył się w sobie,
I tuman tak mu od mózgu odpadał,
Jak kiedy komin pomiotłem wyskrobie.
Lecz wprędce czadział znów i do kart siadał.
Więc się to stało podobnym chorobie:
Jad ludzi nędził tak, że twarze zbladły,
Grzbiety się zgięły, a piersi zapadły.

. . . . . .

Szły dnie, szły noce, a czasy się one
Na żadną lepszą nie miały odmianę.
Dziatki zaczęły mrzeć. Ognie się płone
Rzucały po nich. Więc oczy jak szklane,
Więc w liczku blade, to znowu czerwone,
Kwilące, ciężkie matkom, rozpłakane,
Siniały potem, cichły i tak kładły
Głowy pod kosę śmierci jak kwiat padły.

Ale się długo nikt z nimi nie bawił,
Jeszcze to w oczach ma ciepłe te łezki
Ostatnie, pachoł już sznura przyprawił,
Już nim okręcił trupka, i – do deski!
Kto bliższy, pokląkł, by pacierz odprawił,
Wtem – chlup do morza! I – Ojcze niebieski,
Szukajże teraz duszyczki tej na dnie,
Bo ci z regestrów anielskich wypadnie!

Więc tam nie tyle sprawiała żałości
Tym rodzicielkom śmierć, co te pochowy.
Boć to jest ciężka rzecz, owoc wnętrzności
Dać w te huczące czeluście i rowy.
To się tam druga tak krzyżem pomości,
Że tratuj po niej – nie umknie ci głowy.
Więc potem patrzeć niewiastom nie dali
I nocą one dzieciątka spychali.

A morze, kiedy zaczuło tę strawę,
To zapienionym stało się i gęstem.
I tak szło po nią na samą aż nawę,
Jak wilk z trzaskaniem szczęk głodnych i z chrzęstem,
Różny tam nietwór miał swoją obławę
I lud przestraszał jawieniem się częstem:
Myślisz, że piła tak falę przecina,
A to grzbiet ostry i czarny rekina.

Czasem, gdy morze ustało się nieco
I cicho niosło przejrzystą skróś wodę,
Toś widział, jak ich wielkie cielska świecą...
A zawsze stare w tył, a poprzód młode.
Utrafią zdobycz, to tak ci się zlecą,
Jak kiedy u nas kijanki w pogodę
Za pożywiołem ganiają się onem,
W prawo i w lewo wiosłując ogonem.

Ale są zmyślne! Niełatwo przynętu
Chwycą, choć połcia zawęszą słoniny,
Łba tylko dźwignie taki i z odmętu
Wiatr ciągnie, aż mu z paszczy lecą śliny.

Podpływa – aż ci tu palba z okrętu!
Walą jak w jasną świecę karabiny...
Lecz choć go trafi kula, nie uszkodzi:
Zajuszy trochę i na głąb uchodzi.

Mówią, że rybak jeden, co noc przepił,
Chwyciwszy w morzu takiego rekina,
Wziął go na Łańcuch, u statku uczepił,
A sam, gdy przyszła do drogi godzina,
Układł się w łodzi, by snem się pokrzepił,
I spał, a ten go tak ciągnął jak lina,
Co na niej Bugiem prowadzą galary
Do Uściługa. Lecz mało w tym wiary.

Bo za potężny jest zwierz ten do łodzi,
Przy tym żarłoczny nad wszystko i srogi.
Więc prędzej taki na morzu uszkodzi,
Niżby miał komu pomagać do drogi.
Ale że powieść ta po ludziach chodzi,
Bo tu na gadkę, jak kot na pierogi,
Łakomy każdy z tej długiej tęsknicy,
Na onym stepie modrym, bez stannicy.

To raz, był ranek mglisty, na pokładzie
Gwałt! Patrzę, lecą szypry, marynarze,
Za nimi ciżba narodu w nieładzie;
Tak ja do burtu. Spychają nas straże,
Sternik klnie, z haków zerwało dwie kadzie,
Szum, plusk na morzu... A wtem się ukaże
Ogromny, stary rekin, co z żelazem
Słoninę chwycił i połknął zarazem.

Dopieroż go tu windować do góry!
Nie tak się szarpie wół, gdy go obuchem
Rzeźnik w łeb zdzieli, jak ów. Byłby sznury
Urwał i poszedł, gdy wtem mi nad uchem
Kula świsnęła z miczmańskiej dwurury...
Zwierz się okręcił, raz chlupnął i brzuchem
Na wodę! Tak go dobyli, nietwora,
Dopieroż triumf grać, i do topora!

Jakże się weźmie ciskać, trzepać w pławy,
A prać ogonem po onym pokładzie!
To nam muliskiem zachlustał pół nawy,
A kto mu podszedł, wnet siedział na zadzie.
Ja tam nie byłem do niego ciekawy.
Haniebna siła jest w tym ludojadzie,
Anibym wierzył, by mi kto powiadał,
Co on tam chłopów na kupę naskładał.

„Nic to! Niech morza spróbują frajery".
Śmiech dookoła... – Jest racja, i juści.
Tymczasem u łba nie skąpią siekiery
I już mu wnętrznych sięgają czeluści.
Rąbnął go jeden coś razy ze cztery...
Aż zwierz się zmroczy i dech z siebie puści,
I leży wielki, czarny, rozciągniony...
Nuż dalej hurmem do niego jak wrony.

Kucharczyk jeden, w krochmalnym birecie,
Osiadł go, jakby kulbakę, okrakiem.
Cmoka, że niby na końskim to grzbiecie...
Nuż piętą w boki, nuż po łbie kułakiem.
A wtem się porwie on zwierz i pomiecie:
Chłop z niego! Blady jak chusta, czworakiem
Klapnął o ziemię by żaba rozbita...
A ten dopieroż raz chrapnął – i kwita.

Byłoż to teraz napatrzeć się czego,
Kiedy tak leżał jak niedźwiedź zwalony:
Takiemu mało kłów rzędu jednego,
Ale jak zęby chłop wbija do brony,
Gęsto a płotem, tak właśnie u niego,
A kiedy jako sztyk w ogniu stalony.
Więc nie ma się tam i bawić co wielce,
Kiedy raz człeka zatrzaśnie w te kielce.

Dziwią się baby. Coraz która z bliska
Podejdzie, rękę do brody podniesie
I chwieje głową: „A cóż za zębiska!...
A cóż za ryba taka!... A bójcie się..."

Wtem jedna: „Reta! To nasze dziecika
Takim ciskają?... – I w płacz się zaniesie. –
To te sieroty nasze... w takie garła?..."
Więc insze za nią: tak żałość je sparła.

Lecz wtem cień upadł na wodę z wysoka
I ptasia wrzawa przebiła nas z góry.
Patrzę, a tam się na podób obłoka
Rybitwy srebrzą nad maszty i sznury!
Gromada była tak zbita dla oka,
Że cały kłąb ten jednymi się pióry
Unosić zdawał i tylko po kraju
Strzępił się śniegiem niesionym z wyraju.

Ale Horodziej, na kiju oparty,
Rękę u oczu współślepych przyprawił
I pilno patrząc rzekł: „A ot, i warty
Bóg Przenajświętszy dziateczkom przystawił.
Nie będzie na nie smok godził zażarty;
Na wszystkie On już sieć srebrną nastawił...
A ot, na piórach ptaszęta je niosą,
Ociekające matczynych łez rosą!"

Nuż więc te matki do góry pozierać
Tęsknymi wzroki, łaknące pociechy...
Nuż łkania tłumić i oczy ocierać,
I bić się w piersi, i kajać za grzechy!
Chciał ci tam Opacz starego przepierać
I już po gębie latały mu śmiechy;
Ale nie dalim, bo one podniebne
Rzeczy jak chleb są niewiastom potrzebne.

. . . . . .

Tylko Szczęśniaka żona stała blada.
Oczy jak żużle świecą i jak próchno;
Coś od dni kilku, czy jadło nie nada,
Czy woda, ale dziecku nogi puchną.
Radził ci doktor. I cóż tu za rada?
Mdłe to, ugaśnie, gdy wichry nań dmuchną,

A białe, jakby na rosach blichował…
„Oj, żeby tylko Pan Jezus zachował!”

Patrzy się w morze, a siwe jej oczy
Wzrok ciemny mają, głęboki, uparty,
Aż ją to wszystko na sercu zamroczy:
Ten krzyk, te śmiechy, te płacze, te żarty.
Więc się zachwieje z nagła i potoczy,
Jako ten powój na niczym nie sparty,
Tak Szczęśniak: „Hanuś! A ty znów co, babo?”
A ona z cicha: „Nic. Tak mi coś słabo”.

Młode to jeszcze było, w pierwszym kwiecie,
Więc skóra na tym miętka i czująca.
A tu się temu tak tułać po świecie,
Tak tajać w onej duchocie z gorąca…
Toż nie dziw, że tym i słabość pomiecie,
Jak wiatr wiosenny, co trawy mdłe trąca.
A wszak to one przesilone drogi
Chłopa nadgryzą, nie takiej niebogi.

Więc patrzę na nią, aż ona dziecinę
Pilno przy sobie rękoma ogarnie
I patrzy w morze ogromne i sine
Jak urzeczona, podobna tej sarnie,
Co z kniei wyjdzie na strzał, na drożynę,
Łaniąt strzegąca, a węszy, gdzie psiarnie…
Wtem jedna: „Chłopak to wam chory chyba?”
A ona z krzykiem: „Co wy? Zdrów jak ryba!”

I zaraz chustę na niego i w stronę.
A na tę bladość pierwszą – tom się zdumiał,
Jakie w nią ognie buchnęły czerwone.
Dzieciak też właśnie, jak gdyby rozumiał,
Zacichł i schował się w rańtuchy one.
Tylem i widział go. A okręt szumiał,
Bo na ten wiwat kapitan dla wiary
Tytuń wystawił i tęgiej sztof miary.

Toż to rzuciło się na one gody!